№ 8 Warszawa, 15 Lipca r. 1912. Rok I.

Drużyna

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
WYCHOWAWCZY, SPOŁECZNY, LITERACKI I OŚWIATOWY.

Przedpłata wynosi w Warszawie i na prowincji 2 ruble. — Za granicą: w państwie Austrjackim rocznie 6 koron, w Niemczech — 5 marek.

„DRUŻYNA" wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Adres: red. „Drużyny", Warszawa, ulica Piękna № 29 m. 19. Telefon 65-68.

OD REDAKCJI

Parę miesięcy upłynęło od chwili, jak poszedł między młodzież 1 numer „Drużyny". Z artykułów, zamieszczonych w jednodniówce pod nagłówkami: *Słowo wstępne, Do młodych przyjaciół* oraz *W imię przyjaźni*, czytelnicy mogli osądzić, jaką drogę obrała sobie Drużyna i jak pracować zamierza. Obecnie, ponieważ zainteresowanie się Drużyną stale wzrasta, redakcja zasypywana jest listami i pytaniami, tyczącymi się dalszego losu pisma. Najwięcej spotykamy się z pytaniami: „Jaką nadal będzie Drużyna" Na pytanie powyższe dajemy taką odpowiedź:

Każdy z nas młodych rozumie, że chcąc coś zrobić, trzeba posiąść pewną umiejętność, trzeba się kształcić i uczyć; otóż my przez Drużynę musimy się uczyć i urabiać do życia, do pracy. Podkreślać więc będzie Drużyna stale myśli przewodnie, zawarte w programowych artykułach jednodniówki, a także odezwy z № 3, oraz myśli przewodnie prospektu. Nie powinniśmy też wymagać od Drużyny, ażeby ta drukowała takie rzeczy, ktore by ją z wytkniętej drogi zepchnęły. Chcemy zgody i porozumienia się wspólnego bez względu na poglądy i zapatrywania. Nie chcemy walki i nienawiści. Zamiast wytykać w piśmie setki błędów i cudzych grzechów, podawajmy więcej dobrych przykładów, a napewno korzyść odniesiemy większą; zamiast tracić energję na wymyślanie setek sposobów dla zwalczania kogoś lub czegoś, skierujmy swą energję do walki z ciemnotą, zacofaniem i złem wszelkiem.

Bądźmy otwarci i wyrozumiali względem siebie, a kłótnie zostawmy więcej doświadczonym... Nie burzyć, ale budować powinniśmy, a pomału wyrobimy w sobie siłę twórczą, która jak słońce przyświecać będzie przyszłym młodym pokoleniom.

Tyle co do programu.

A teraz na zakończenie upraszamy czytelników

o nadsyłanie
ZALEGŁEJ PRENUMERATY

i jednanie nam nowych odbiorców. Niech „Drużyna" budzi do życia jaknajliczniejsze gromady młodzieży, a praca nad odrodzeniem narodowem szybszym potoczy się kołem.

W setną rocznicę.

Są ludzie, którzy dla siebie tylko żyją. A inni przychodzą na ziemię roztaczać dokoła żywsze promienie światła i miłości.

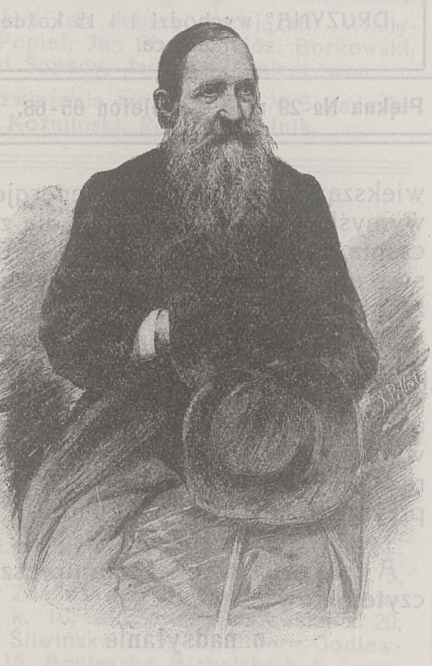
Ich zdaniem budzić w sercach uczucia dobra sprawiedliwości i ofiary.

Tacy ludzie gdy umierają, pamięć ich jaśnieje wśród potomnych. Dzieła ich trwają wieki, zastygłe ich serca wywierają wpływ na miljony.

Mijają stulecia, a pamięć ich żyje wśród potomnych; prochy ich otoczone są szacunkiem, imię z czcią się powtarza.

Jednym z takich ludzi szlachetnych, zasłużonych krajowi był Józef Ignacy Kraszewski.

Kimże był ów człowiek, którego stuletnią rocznicę urodzin obchodzi cała Polska?



Józef Ignacy Kraszewski.

Wielki bohater, mądry prawodawca, artysta ponad zwykłą miarę, czy jakiś szczególny dobroczyńca ludzkości?

Kraszewski był powieściopisarzem. Działalność literacką rozpoczął w czasach, gdy powieści polskich jeszcze nie mieliśmy. Były wprawdzie dzieła znakomite pisane po polsku, ale księgi uczone czyż każdy odczytywać jest w stanie?

Tymczasem powieść dostępną jest nawet dla ludzi z małem wykształceniem, nawet dla prostaczków. Czytać ją może człowiek spracowany.

Dobrze napisana powieść i troskę z czoła i sen z ociężałych powiek odpędza. Nim Kraszewski puścił w świat swoje utwory, czytano w Polsce brudne powieści francuskie. On je wyrugował; zastąpił je polskiemi, za pomocą których uczył kochać naszą przeszłość, naszą uczciwość, mowę i zwyczaj starodawny.

Kraszewski był najpierwszym z powieściopisarzy w Polsce. On dopiero powieść polską stworzył. Prus, Orzeszkowa, Sienkiewicz na jego utworach pisać się uczyli. Oni powieść polską doprowadzili do doskonałości— Kraszewski założył jej podwaliny.

Niema w utworach jego opisów pełnych grozy, jak u Sienkiewicza. Niema tego humoru, tego „uśmiechu przez łzy" jaki spotykamy u Prusa. Nie znajdziemy tak pięknych utworów, jak u Orzeszkowej. Może nie umiał jak inni, roztaczać przed czytelnikiem bogactw duszy ludzkiej, drgań serca po mistrzowsku oddać się nie silił. Malował przeważnie świat zewnętrzny. Lecz i u niego są walki, zmagania się uczucia, są obrazy przy czytaniu których łza w oku się kręci.

Kraszewski żył w czasach, kiedy runęła przeszłość Polski wiekopomna. Rozmiłowany w naszych dziejach, powziął myśl przedstawienia współczesnym Polski dawnej, Piastowskiej, Jagiellońskiej. Ileż pracy podjąć musiał, ile starych foljałów przeczytał, by módz odtworzyć owe czasy zamierzchłe, kiedy przodkowie nasi nie znali jeszcze wiary Chrystusowej, kiedy po kontynach bogom kamiennym składali objaty. Jakże dokładnie musiał Kraszewski znać dzieje Polski, skoro mógł z nich wykroić aż 72 tomy powieści historycznych. Jak musiał kochać postacie, które nie farbami lecz słowy malował.

Król każdy w jego powieści to jakby postać żywa z nawyknieniami, i wadami. Suną w utworach Kraszewskiego niby długim korowodem monarchowie polscy: Chrobry waleczny, a porywczy, dobrotliwy Jagiełło; zabiegliwa Sonka, ówdzie Bona, chytra włoszka, co urzędami dla własnych zysków frymarczyła.

Obok królów ukazują nam się mężowie zasłużeni: nieugięty Oleśnicki, mądry Zamojski, Józef Poniatowski

z wszystkiemi wadami i zaletami owoczesnej młodzi, Kazimierz Puławski, zahartowany w boju.

W wielu razach historycy mogą zarzucić Kraszewskiemu mylne poglądy; weźmy jednak pod uwagę, że powieści jego powstały przed laty kilkudziesięciu, a wszak historja na każdym kroku niemal odkrywa nowe źródła i podług nich zmienia sądy o wydarzeniach i ludziach. To pewno, że w naszych stosunkach powieści Kraszewskiego były krynicą, z której młodzież polska czerpała znajomość dziejów ojczystych. Przez długie lata Kraszewski był dla społeczeństwa polskiego nieocenionym nauczycielem historji. Starzy i młodzi rozchwytywali jego powieści. Słusznie też powiedział o Kraszewskim współczesny mu poeta:

Szczęśliwy, kto swą duszą własną
Wykarmił całe pokolenia,
I wytknął dla nich drogę jasną,
I w nowych jutrzniach, co nie gasną
Ogląda dzieło odrodzenia.

Jest w jego powieściach i szlachta niekiedy butna, leniwa, to znowu pełna ofiarności dla kraju. I ta „Boża czeladka“, co roztaczała w koło siebie miłość i dobrodziejstwa, pod której dachem znajdował przystań spokojną i młodzian, wchodzący w życie i człowiek złamany cierpieniem.

Dla nas jednak najciekawszemi w powieściach Kraszewskiego są postacie z ludu. Kraszewski w powieściach swych opisuje lud ukraiński, wśród którego żył i który znany mu był najlepiej. Ów „psiarek“ niby głupi, a kochający przyrodę. „Iwaś psiarek“, co nie rozumie miłości ojczyzny, lecz panicza z pod gradu kul unosi w miejsce bezpieczne. Sam okryty „ranami, których nawet nie czuł“, pielęgnuje młodego pana. Później, gdy dziedzic znalazł się w nędzy, Iwaś z braterską troskliwością o jego potrzeby się troszczy. Utrzymuje dawnego pana ze swych oszczędności, przez całe życie gromadzonych. I trumnę, i pogrzeb za te pieniądze mu sprawia.

(Dok. nast.).

Żebym jeno chciał...

Żebym jeno chciał, matulu,
Żebym jeno chciał,
Tobym pereł i brylantów
Pełne skrzynie miał.
Wyjść mi jeno na porębę,
Gdzie liljowy wrzos
Aż się słania pod ciężarem
Porankowych ros...
Jeno strząsnąć nowe kwiecie.
Spadną rosy wnet...
A wrzosisko na porębie
Het się ciągnie — het!
Żebym jeno chciał, matulu,
Żebym jeno chciał,
Tobym pereł i brylantów
Pełne skrzynie miał.
Pójść mi jeno między chaty
Gdzie te modre lny
I nanizać na nić cienką
Jasne ludzkie łzy.

J. P.

NA SAKSY.

Był cichy wieczór letni, wieczór jakich mało się spotyka w ciągu roku. Wyszedłem przed chatę i usiadłem na ławce. Z odległych błot dochodził rzechot i rozhowar żab; na ulicy wioskowej dziatwa bawiła się w gonitwy, od czasu do czasu przelatywał nietoperz, polując na owady i budząc postrach wśród dzieci, które z krzykiem zasłaniały sobie włosy. Przed chatami na ławkach i kamieniach porozsiadali się starsi gospodarze i gospodynie, napawali się świeżem letniem powietrzem i gwarzyli wesoło, bo i w nich, otaczająca natura wlała jakąś moc i siłę i obudziła wspomnienie młodości i lepszych czasów. — Pod gankiem obrosłym dzikiem winem zebrała się gromadka dziewcząt, — zamiast wesołych rozmów i śmieszków, jak to zawsze bywa pomiędzy niemi, cichą prowadziły rozmowę a i ta wciąż im się urywała. Co to jest? Czy one nie odczuwają tej prześlicznej nocy letniej? Wkoło nich ruch i życie, cała ludność wioskowa napawa się uro-

kiem nocy letniej, wszystkie nocne owady swoim szumem i szemraniem chwalą Stwórcę i Dawcę życia, a one nic nie odczuwają — siedzą spokojne i ciche, jak starcy znękani pracą i życiem w wietrzną i burzliwą noc listopadową.

Spojrzałem na nie i domyśliłem się przyczyny ich smutku. Oto wszyscy niemal chłopcy wioskowi wyszli na „Saksy", a one przez całe lato pozbawione są zabaw i tańców. Więc nie klei im się rozmowa. Nie jedna z nich leci myślą hen, gdzie Jasiek i Stacho pracują w poniewierce i wzgardzie na tych, których nasi praojcowie bili na Psiem Polu, pod Płowcami lub Grunwaldem.

Lecz co ich zmusza opuszczać kraj swój i wioskę rodzinną? Czy im brak chleba w Ojczyźnie, że już nie może ich wyżywić? Nie! Jest go jeszcze dość i starczyłoby go dla wszystkich synów tej ziemi, aż nadto, lecz my go nie widzimy i nie możemy znaleźć przez swoją ciemnotę i nieumiejętność wzięcia się do rzeczy, lub też przez inne niesprzyjające warunki. Spójrzmy wkoło siebie i co widzimy?

Dziatwa wiejska chowa się bez ochron i szkół razem z bydlętami i gęśmi na pastwisku, młodzież i starsi zamiast spędzać czas wolny od pracy użytecznie na czytaniu i oświecaniu się, tracą zdrowie i pieniądze przy kieliszku.

Kobiety, zamiast zajmować się wychowaniem dzieci, tej lepszej nadziei naszej przyszłości, zajmują się plotkami.

Wkoło nas leżą tysiące morgów, nieużytków, które przy umiejętnej pracy zmieniłyby się na lasy i niwy uprawne, bydło tonie w błocie na wspólnych pastwiskach, pola nasze uprawne trapi „zmora szachownica", a my swoją pracą musimy żywić u siebie miljon siedemset pięćdziesiąt tysięcy Żydów, którzy wżerają się w nasz organizm narodowy, jak pijawki w ciało ludzkie. Widzimy dalej, że i Niemcy zajmują coraz to więcej u nas placówek w przemyśle, handlu i rolnictwie.

A oni nie widzą tego, nie starają się pracować w kraju i wytwarzać coraz te nowe warsztaty pracy, nie dbają o oświatę, tę największą potęgę w czasach dzisiejszych, z której płynie dobrobyt, moralność, siła narodu, tylko lecą, jak ćmy do światła, na swą poniewierkę i wyzysk do tych, którzy nazywają ich bydłem roboczem polskiem i wszelkiemi sposobami starają się wyniszczyć i wytępić braci naszych, mieszkających pod ich zaborem.

Ocknęłem się z zadumy. Na ulicy wioskowej ucichła wrzawa, cała ludność wioskowa udała się na spoczynek; zdala tylko dochodziło złowrogie hukanie puszczyka, spóźniony owad przeleciał z brzękiem, lecz i on udał się na spoczynek, — z pod ganku obrosłego winem rozchodziły się dziewczęta, a odchodząc niejedna z nich spojrzała smutnie w stronę zachodu.

Wreszcie wszystko ucichło, tylko księżyc rzucał swe blaski na ziemię, to znów się chował, jakby się bał zajrzeć w każdy zakątek tej ziemi biednej, opuszczonej przez synów, a zajmowanej przez obce i wrogie nam żywioły.

I niegdyś przed laty w ciche i pogodne noce zbierała się cała ludność na ulicę wioskową, dziewczęta załzawionemi oczami spoglądały w stronę zachodu, gdzie może niejednej brat lub narzeczony leżał zabity lub ranny na polu bitwy i błaga ratunku lub kropli wody. Starsi prowadzili ciche i poważne rozmowy i również zwracali oczy w stronę zachodnią, czy czasem nie ujrzą powracających synów z wojny.

A dziś jesienią powracają także całe zastępy naszej młodzieży z zachodu, w zielonych kapeluszach, w różnych dziwacznych strojach, z tobołkami w ręku, w których niosą tandetę niemiecką, lecz zamiast usłyszeć od nich mądre zdania, słyszysz: „Gut morgen, donner-weter, ferfluchtes" i t. p. Tamci nieśli życie swoje w ofierze dla Ojczyzny, a ci znów pracę swą niosą wrogom...

Józef Milik.

BOLESŁAW PRUS.

ORFEUSZ*).

Losowanie skończyło się, a feldfebel odprowadził rekrutów do tymczasowych koszar. Byli tam chłopi z włosami podciętemi na czole, w nowych butach i świątecznych sukmanach; mieszczanie w granatowych kaszkietach i szaraczkowych kapotach; wybladły żydek, z pejsami, w atłasowym chałacie; drugi żydek, felczer, w jasnej chustce na szyi i w letniej marynarce, wreszcie ubogi szlachcic w burce. Niektórzy nieśli w ręku węzełki, inni na plecach dźwigali duże tłomoki, a inni nie nieśli nic; los zaskoczył ich niespodzianie.

Feldfebel ustawił ich we dwójki, najwyższych na prawem skrzydle, najniższych na lewem. Uszykowali się butnie, śmiejąc się i żartując.

— Wyprostuj nogi, panie wojak, bo ci pałąkowato stoją! — mówił parobczak do żydka w atłasowym chałacie.

— Ja wszystkich oficerów będę golił, zobaczycie!..—wołał żydek felczer, myśląc, że powiedział wielki dowcip.

— Idziemy na Turka!.. — krzyknął jeden z mieszczan.

Feldfebel spojrzał po nich zadowolony i mruknął pod nosem: „Chwaty chłopcy!..“ Policzył w jedną i w drugą stronę i zakomenderował:

— W prawo!

Na to hasło wszyscy zwrócili się natychmiast, ale jedni w prawo, inni w lewo, a żydek z pejsami wyleciał przed szereg. Zrobiło się zamieszanie, rekruci wybuchnęli śmiechem, aż uciszył ich i ustawił feldfebel.

— Marsz! — i kolumna ruszyła naprzód, a feldfebel szedł obok pierwszej dwójki. Był to człowiek olbrzymiego wzrostu i barczysty; pałasz w żelaznej pochwie zapiął na haczyk i szedł krokiem miarowym, sztywny, zimny, w szarym płaszczu.

Był już koniec listopada. Z ołowianego nieba mżyło, czworokątny rynek miasteczka zmienił się w kałużę. Feldfebel skręcił na środek, a z nim kolumna. Rekruci szli ostro, ze zgiełkiem i śmiechem, podpowiadając sobie:

— Raz, dwa! raz dwa!..—w asystencji kilku łobuzów, z których jeden trąbił na szyjce od butelki, drugi bił kijem w deskę, trzeci obracał hałaśliwą grzechotkę, a wszyscy wrzeszczeli.

Wtem od strony zjazdu ukazała się bezładna gromada kobiet i starszych mężczyzn. Z głośnym płaczem zabiegli drogę rekrutom, wyciągając do nich ręce i potykając się w błocie.

Dopadli do maszerującej kolumny, zmieszali się z nią i zatrzymali pochód.

— Na bok, baby, bo tu wojsko!..— zawołał któryś z rekrutów.

— Waluś!..—krzyknęła jakaś kobiecina, rzucając się ku czerstwemu parobczakowi.—Waluś!.. a dyć pożegnaj się ze mną... Nie dali mi się tobą nawet nacieszyć ostatni raz... Naści, synu, złotówkę.. O Jezu, i kiedyż ja cię zobaczę, sierota?..

I objęła go za szyję, całując i oblewając łzami.

— Z drogi, baby, kiedy wojsko idzie!.. — wrzeszczeli rekruci.

— Marsz! — komenderował feldfebel.

W tej chwili stary żyd porwał za rękę żydka w chałacie i szlochając, z czerwonemi jak królik oczyma, szeptał mu do ucha:

— Ty, Moszek, idź zaraz do szpitala... Ja wszystko sprzedam, ażeby cię uwolnić...

— Marsz! marsz! — powtarzał feldfebel, spokojnie przypatrując się żałosnemu widowisku.

— No, idźta-że! — wołali rekruci, przeciskając się między tłumem. Już dochodzili do koszarowego budynku, kiedy dognała ich młoda mieszczanka z dzieckiem u piersi.

— Józek... ty tu?..—zawołała tonem

---

*) Orfeusz był, według starożytnych greckich podań, śpiewakiem i muzykiem który swą przecudną grą na harfie i śpiewem dziwił nie tylko ludzi, ale poskramiał nawet dzikie zwierzęta, i wzruszał kamienie.

bolesnego zdumienia. — Przecie mówili, żeś dobry numer wyciągnął?..

Zapytany, nie patrząc na nią, machnął ręką i ukradkiem otarł łzę.

— Józek... wstąpże do domu... Tak przecież iść nie możesz nawet do wojska; muszę ci co wyładować na drogę... O, Panno Przenajświętsza!.. całą wotywę leżałam dziś krzyżem, myślałam, że ci nic nie będzie, a ty tu, Józek, ty tu?..

Kolumna doszła do drzwi, z coraz większym hałasem. Rekruci na znak wielkiej ochoty, zaczęli się popychać bokami, a żydek felczer, stanąwszy na progu wyrzucił w górę czarną jedwabną czapeczkę i zsiniałemi ustami wykrzyknął: hura!

Już wszyscy weszli na korytarz; przed progiem został tylko mieszczanin, któremu żona uczepiła się u ręki.

— Idź! — rzekł feldfebel, wskazując mu drzwi.

— On nie pójdzie! - mówiła kobieta — bo przecie nic jeszcze nie ma na drogę.

— W wojsku dadzą mu wszystko — odparł feldfebel tonem głębokiego przekonania.

— Co? w wojsku?... ja nie chcę wojska!... A kiedyście go wzięli, to i ja z nim pójdę...

— Nie wolno.

— Może komu nie wolno, ale nie mnie; ja przecież jego żona...

Feldfebel popchnął rekruta do sieni i sam wszedł za nim.

— Józek, pocałujże choć syna!..— wołała kobieta, rwąc się za próg.

Ale ją odsunął sołtys z policjantem i zamknięto drzwi.

— Hura! — krzyknęli na korytarzu rekruci.

Ze dworu odpowiedział im zgiełk tłumu i jękliwe błogosławieństwo starego żyda. Potem ktoś zaczął bić ręką we drzwi i krzyczeć rozdzierającym głosem:

— Józek! Józek!

Minąwszy ciemny i pełen wybojów korytarz, rekruci znaleźli się w dużej izbie o trzech zakratowanych oknach. Stało tu kilka ławek, a wzdłuż ścian leżała słoma przygotowana na nocleg, na kominie płonął ogromny ogień i oświetlał szarą wilgoć murów; powietrze było surowe i przejęte dymem. Tu weszli rekruci i nagle zatrzymali się jak odurzeni. Może podziałała na nich cisza, do tej bowiem izby nie dochodził żaden głos z rynku. Stali długą chwilę, przysłuchując się w milczeniu, uśmiechy znikły im z twarzy, głowy pochyliły się; potem zaczęli nawzajem spoglądać po sobie, zdziwieni i zakłopotani. Pierwszy ocknął się żydek felczer. Zatarł gorączkowo ręce i rzekł do jednego z mieszczan:

— Ja się nic nie boję! Ja felczer. Zaraz pewnie zostanę młodszym felczerem, potem starszym, a potem może doktorem... W wojsku jest przecie awans.

Ale że nikt mu nie odpowiedział, więc stanął przed ogniskiem i trząsł się jak w febrze.

— Bardzo zimno! — mruknął.

(C. d. n.)

Teatr wiejski.

(Dokończenie.)

Twórcą teatru polskiego jest Wojciech Bogusławski. Urodził się we wsi Gliwano pod Poznaniem, za panowania ostatniego Sasa. Ojczyzna nasza, przez własnych synów szarpana, chyliła się ku upadkowi.

Wojciech Bogusławski jeden z lepszych jej synów, widział, że uratowanie ojczyzny musi być dziełem całego społeczeństwa, przez odrodzenie się gruntowne chciał obudzić ducha narodowego, pragnął, ażeby życie naszego społeczeństwa we wszystkich swoich formach miało czysto swojski, polski, rodzimy charakter i tę reformę rozpoczął od teatru—stworzył polski narodowy teatr.

Śmiała to była myśl, której wykonanie jak na owe czasy zdawało się być nieziszczalne. Wówczas aktorów nazywano komedjantami, nie uważano ich nawet za ludzi godnych po śmierci spoczywać w poświęconej ziemi.

Bogusławski siłą swego talentu, niezłomnej woli i wiary w dobrą

sprawę, nie zrażając się piętrzącemi się trudnościami w postaci przesądów, intryg; zebrawszy drużynę z takimi mistrzami gry scenicznej jak Owsiński i Truskolascy, przebiegał prowincje, porywał tłumy. Myśl, rzucona przez niego, padła jak dobre ziarno, na urodzajną ziemię. Swojscy pisarze dramatyczni coraz liczniej przyczyniali się do odrodzenia narodu.

Zakładanie teatru na wsi spotyka się z przeszkodami. Pożyteczne widowiska, wieś uważa za coś gorszącego, a dlatego jedynie, że nigdy teatru nie widziała. Włościanie sądzą, że teatr ich ośmiesza. Łatwo jednak im wytłomaczyć, że jest przeciwnie. Teatr ma inne zadanie. Nie jest zgorszeniem ani grzechem, a początki jego sięgają średniowiecznych czasów, kiedy w kościołach w czasie wielkiego tygodnia przedstawiano całe stacje męki Pańskiej. Zwyczaj ten w głębokiej prowincji zachowuje się w części dotychczas. W wielki piątek przy udekorowanym grobie pana Jezusa stoją chłopcy jako warta, przebrani za żołnierzy.

Na Boże-Narodzenie podczas pasterki niedawno jeszcze w Nowym Dworze był zwyczaj, że ukazywał się anioł (przebrana dziewczynka), który śpiewał Gloria in exelsis Deo. Teatr świecki nie jest również rzeczą zdrożną, a tylko przedstawieniem przez osoby żywe jakiejś powieści lub też osób i wypadków, wziętych z historyi.

Z powyższego widzimy jak wielkim czynnikiem wychowawczo-oświatowym może być teatr na wsi.

Józef Bzowski.

NA CZASIE.

Nareszcie po całorocznej pracy w murach szkolnych doczekaliśmy się wakacji, owych upragnionych chwil odpoczynku. Tak! doczekaliśmy się i prawie każdy pożegnał zaduch miasta i wyjechał na wieś, aby tam śród zieleni pól, łąk i lasów całą piersią oddychać świeżem, zdrowem powietrzem i aby tam nabrać sił i energji do nowej pracy.

Wyjechaliśmy na wieś do rodziców i krewnych. Ze szkół, w których przebywaliśmy większy lub mniejszy przeciąg czasu, wynieśliśmy pewien zasób wiedzy. Tę wiedzę powinniśmy przy każdej sposobności zużytkować na coś korzystnego, tą wiedzą powinniśmy się dzielić z tymi braćmi naszymi, którzy jej naprawdę łakną, powinniśmy się dzielić, bo w przeciwnym razie bylibyśmy wstrętnymi samolubami.

Wiedzy łakną bracia nasi od pługa — lud wiejski.

Teraz w czasie wakacji, stykamy się z niemi. A ponieważ jesteśmy młodzi, więc mamy młode siły i gorące serca, powinniśmy dawać pokarm owym duszom spragnionym, powinniśmy zasilać nadzieją serca zwątpiałe, powinniśmy podniecać i budzić z drzemki siły potężne naszego ludu. Należy zbliżyć się do wszystkich, młodych i starych, ale przedewszystkiem do swych rówieśników i rówieśniczek — do młodzieży i nawoływać ją do uczciwej i szlachetnej pracy. Do młodzieży, bo w niej jest owa siła, w niej jest nadzieja, w niej jest przyszłość ojczyzny.

Ażeby kogoś nawoływać do uczciwej i szlachetnej pracy, trzeba się wyzbyć wyższości, dumy i pychy w sercu, a natomiast przez swoje postępowanie i pracę być wzorem i przykładem dla tych, na których chcemy oddziaływać. Wyższość może się okazywać tylko przez taktowne zachowanie się, tylko przez wiedzę, tylko przez dobroć i wielkość serca.

Tak, młodzi jesteśmy, weźmy się do pracy, do czynu, bo kraj woła nas! Dźwigajmy kraj z nędzy i upadku. Weźmy się i weźmy się razem, bo: „W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele".

Niech droga nam „Drużyna" będzie prawdziwie naszym organem; niech ona świeci i prowadzi nas do czynu i braterstwa.

Popierajmy ją, ile sił starczy. Teraz mamy czas, więc piszmy do niej artykuły, dzielmy się swojemi wrażeniami i myślami.

H. Słomka.

Pracujmy nad sobą.

Zapewne każdy z młodych czytelników „Drużyny“ rozumie już dobrze na czym polega nasze stanowisko w społeczeństwie. Wiemy wszyscy, że należy zwalczać ciemnotę i zło, które szkodę narodowi przynosi i cofa go wstecz, a nieść światło i rozszerzać, to, co dobre i szlachetne co zdoła odrodzić nas duchowo. Nam, młodzieży polskiej nie brak dobrych chęci i szczerego zapału do tej pięknej pracy, my pomnąc na słowa wieszcza, że „zapał tworzy cudy“ idziemy naprzód i z wiarą w dobrą przyszłość przystępujemy do pracy. Zastanówmy się jednak dobrze, czy zapał nasz nie jest tylko słomianym ogniem, czy pracę podjętą zdołamy do końca doprowadzić? Koledzy i koleżanki! Zapewne dziwi was, skąd przychodzą mi do głowy podobne wątpliwości. Może sądzicie, że pragnę ostudzić w was ten zapał i zniechęcić do pracy ideowej. Lecz tego nie mam na celu, bo sama, jak wy wierzę w skuteczność naszej pracy i z całym zapałem pragnę się jej oddać. Podobne wątpliwości nasunęły mi się zupełnie z innych przyczyn. Otóż często ludzie starsi, którzy również pragną dobra młodzieży i szczerze się jej sprawami interesują, jednak o pracy naszej wyrażają się z pewnym powątpiewaniem, posądzając nas o brak wytrwałości. Zdanie to nie jest bez podstawy, bo można je poprzeć przykładami z życia. Sama znam młodych ludzi, którzy, przed rokiem jeszcze byli całkiem pochłonięci pracą społeczną a dziś mimo że potrzebę jej dobrze sobie uświadamiają, zapał już ostygł i przestali się interesować najważniejszemi nawet sprawami. Czym sobie wytłumaczyć ten brak wytrwałości w młodzieży naszej? Przyczyna, według mego zdania leży, w braku silnej woli i wyrobionego charakteru. To też to zanim weźmiemy głęboko do serc naszych starajmy się przedewszystkiem poznać siebie, a następnie pracować nad sobą. Poznać swoją naturę, wyrobić w sobie charakter stały, prawy, jasny jest rzeczą bardzo trudną, ale przy dobrych chęciach i usilnej pracy, chociaż częściowo moglibyśmy tego dokonać. Należy tylko sumiennie wnikać w siebie, być dla siebie surowym sędzią, każdą zauważoną wadę w swoim charakterze starać się gruntownie wykorzenić, a ćwiczyć dodatnie strony swego charakteru i doprowadzć je do możliwego stopnia doskonałości. Jednym słowem trzeba unikać tego, co złe, a doskonalić się w dobrem. Czyny i postępki nasz e powinny być takie, abyśmy nie potrzebowali ukrywać się z niemi przed ludźmi i własnym sumieniem. Bo ten tylko może głosić piękne zasady, kto sam w myśl ich postępuje, ten tylko może skutecznie pracować dla dobra ojczyzny i ogółu, kto sam swym własnym życiem daje wzór i dobry przykład innym, gdyż żywy przykład silniej działa, niż wszelkie głoszone nauki i martwa litera.

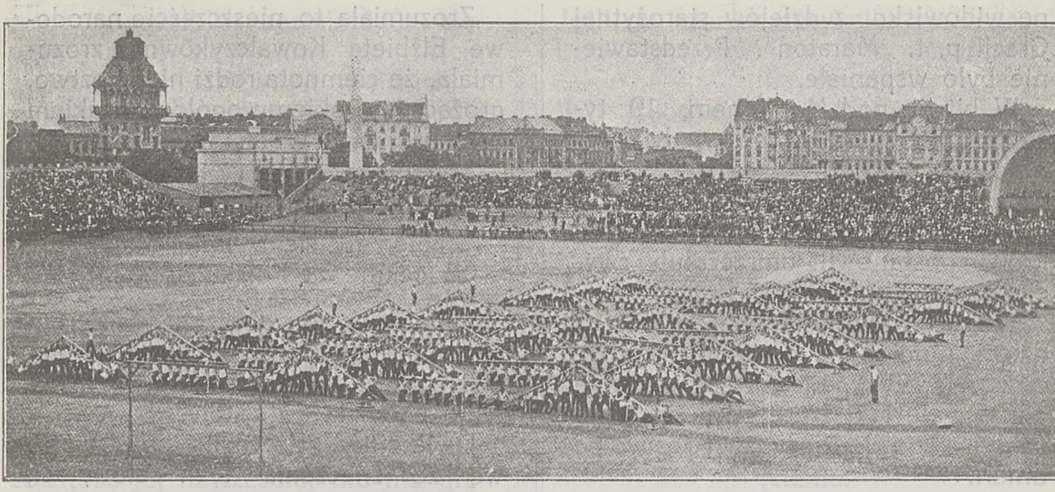
Praca nasza podjęta dla dobra społeczeństwa jest piękną i szlachetną dziś wszyscy z całym zapałem pragniemy przyłożyć się do niej. Pamiętajmy jednak, aby zapał, nasz nie ostygł, aby nie zbrakło nam silnej woli i wytrwałości, bo nie wolno nam stanąć na środku drogi, po jakiej kroczyć zaczęliśmy, lecz iść wciąż naprzód i coraz bardziej roszerzać zakres swej pracy.

Jadwiga Lemieszówna

Uroczystości czeskie.

Z powodu odsłonięcia pomnika historyka czeskiego Palackiego odbył się w Pradze czeskiej w końcu czerwca i na początkach lipca złot sokołów i ćwiczenia, które trwały przez kilka dni.

W pochodzie, który odbył się dnia 30 czerwca, wzięło udział 30 tysięcy



Ćwiczenia sokołów w Pradze czeskiej.

sokołów, a następnie urządzono ćwiczenia na boisku, które otoczyło 180 tysięcy widzów.

Z pcczątku ćwiczyli sokoli innych narodowości.

„Po gościach — jak pisze naoczny świadek w Gazecie Warszawskiej — wkroczył na boisko 6-ciotysięczny zastęp sokołek czeskich, które szybko i sprawnie, za pomocą odpowiednich manewrów gęstą szachownicą pokryły większą część boiska i wykonały szereg wolnych ćwiczeń z dużym wdziękiem i dokładnością. Strój ich, składający się z granatowej bluzki i sukienki, białego kołnierza marynarskiego i czerwonej chusteczki na głowie, daje na żółtem tle boiska grę kolorów bardzo ładną.

Najważniejszą jednak chwilą są bezwątpienia ćwiczenia wolne, wykonane przez olbrzymi zastęp 11 tysięcy Sokołów. Z dwóch stron jednocześnie wstępują na boisko dwie potężne ławy sokole, po 32 w rzędzie, krokiem równym i silnym — zbliżają slę ku sobie. Chwila ta sprawia może najsilniejsze wrażenie. Na trybunach zrywa się grzmot oklasków, powietrze drży od okrzyków 180-tysięcznego tłumu. Obie ławy zbliżają się ku sobie, dzielą, zawracają, znów dzielą, wreszcie stają w kolumnach po 8 w rzędzie. Na sygnał trąbki szeregi rozskakują się na boki z rozkrzyżowanemi rękoma i pokrywają szachownicą całe olbrzymie boisko. Znów trąbka—i 22 tysiące rąk opada na uda, przygłuszonym grzmotem wstrząsając powietrze. Na trybunach znów oklaski, które jednak milkną szybko, gdyż orkiestra zaczyna grać i po chwili te tysiące rąk i ciał zaczynają wykonywać ruchy rytmiczne i tak dokładne, że zapomina się, że ta masa składa się z pojedyńczych ludzi, a ma się wrażenie, że to olbrzymi łan zboża faluje od wiatru i mieni swe barwy; każdy ruch tej olbrzymiej masy na żwirze boiska sprawia głuchy szum, powiększający jeszcze wrażenie. Ćwiczenia te, przygotowane specjalnie na złot, mają przeważnie charakter symboliczny i składają się z trzech części, wyobrażających ruchy przy rzucaniu kręgu, oszczepu i strzelaniu z łuku.

Nakoniec muzyka milknie, odzywa się sygnał kierownika i całe boisko znów zbija się w kolumny po 8, po 16 i nakoniec po 32 w rzędzie, poczem opuszcza boisko wśród burzy oklasków.

Wyobrażam sobie, co musi odczuwać Czech, patrząc na te zastępy, gdy ja, cudzoziemiec, z zapartym oddechem śledziłem każdy ruch i odczuwałem tchnienie siły i potęgi, bijące od tych zastępów.

Na drugi dzień przedstawiono pięk-

ne widowisko z dziejów starożytnej Grecji p. t. „Maraton". Przedstawienie było wspaniałe.

W bitwie pod Maratonem, 10 tysięcy Greków walczyło wtedy broniąc swej ojczyzny ze 100 tysięczną armją Persów. Walka kończy się zwycięstwem dzielnych Greków, którzy postanowili umrzeć lub zwyciężyć.

W czasie bitwy kapłani, kobiety i dzieci, modląc się oczekują na wieści z pola bitwy. Zjawia się wreszcie goniec, ale taki zmęczony, że tylko zdążył wypowiedzieć „zwycięstwo" i umarł.

Wreszcie powracają zwycięzcy, następują powitania, radość powszechna i zabawa ogólna na cześć zwycięstwa.

Tę właśnie chwilę z dziejów Grecji przedstawiali sokoli czescy.

Słów kilka o kobietach włościankach

w Księstwie Łowickiem.

Księstwo Łowickie, położone w guberni Warszawskiej, do roku 1795 należące do arcybiskupów Gnieźnieńskich, — zamieszkuje lud pracowity, zdrowy, uczciwy, zdolny, ceniący swą godność, zamożny, przywiązany do zwyczajów i ubioru przodków.

„Szkół zamało, ochron trzeba,
Aby nam nie zbrakło chleba!"

woła młoda włościanka z Łowickiego, Elżbieta Kowalczykówna w jednym ze swych prostych, a tchnących prawdą i szczerością utworów wierszowanych.

Zrozumiała ona ciężką krzywdę, jaka dzieje się narodowi z powodu braku szkół. Gdy w roku 1905 naród Czeski posiadał 23 szkoły na 1000 dzieci w wieku szkolnym, naród Polski miał ich zaledwie 6 na tysiąc.

Naturalnym wynikiem tego jest analfabetyzm, szerzący się do chwili obecnej w Królestwie Polskim. Naród nasz, będący niegdyś jednym z najoświeceńszych narodów Europy, posiadał w 1905 roku 70% ludzi nieumiejących czytać (70 ludzi na 100).

Zrozumiała to nieszczęście narodowe Elżbieta Kowalczykówna, zrozumiała, że ciemnota rodzi niedołęztwo, grożące szerokiemu ogółowi brakiem „chleba" więc Woła:

„Hej do pracy, do jedności
Niechaj ciemność już nie gości,
Zabierzmy się w imię Boga,
A ocknie się Polska droga!"

Miłością kraju, gorącem, szczerem ukochaniem tchną jej myśli. Zawdzięcza je samej sobie, dwie zimy tylko chodziła do szkoły.

Dwie zimy. Czy zdają sobie sprawę ze znaczenia tych słów, ci, których dzieci korzystają ze skarbnicy wiedzy w ciągu całego roku szkolnego! Czy mogą wyobrazić sobie, jak krzywdzone jest dotychczas dziecko najliczniejszej, bo 8-mio miljonowej warstwy ludu Polskiego w Królestwie! Rok szkolny dziecka wiejskiego liczy 120 dni, resztę czasu spędza ono na pasionce, — będącej istotną niewolą dziecka u bydła. Oddalenie jednej szkoły od drugiej, sięgające 6-ciu wiorst, zmusza dzieci do opuszczania lekcji w czasie mrozów, śniegów lub słoty. Rok szkolny zmniejsza się o połowę, — wynosi 60 dni. Przepełnienie w szkole utrudnia nauczycielom naukę.

Rodzice dbają bardziej o naukę syna niż córki, córka bardziej jest potrzebna matce w jej pracach domowych, i jako mniej wytrwała na zimno, częściej od chłopca pozostaje w domu.

W tak niesprzyjających warunkach nie mogą rozwijać się umysły, nie mogą kształcić się charaktery; to też większość dziewcząt cechuje lekkomyślność i próżność.

Ubrać się w piękny, modny, własną ręką utkany wełniak, (wełniaki stosownie do mody zmieniają barwę), wystroić się w jedwabny, kosztowny „gorsant", jedwabną chustkę ułożyć misternie na głowie, wpleść szeroką wstążkę w warkocze, zawiesić całe piersi aż do pasa bursztynami, a przedewszystkiem koralami sztucznemi (prawdziwe jako zbyt drobne wychodzą z mody i zamieniane bywają na

sztuczne wielkich rozmiarów), słowem, ubrać się pięknie jest treścią marzeń ogółu dziewcząt wiejskich.

Tylko w mocnych barwach znajdują Księżaczki upodobanie, począwszy od amarantowej tasiemki w trzewiku, aż do chustki na głowie—wszystko „bajecznie kolorowe". Jak maki wyglądają dziewczęta, gdy na tle łąk zielonych wracają z kościoła do swych zagród ojczystych.

Gdy dziewczyna wyjdzie zamąż, staje się najczęściej oddaną żoną i matką, obowiązki swe spełnia z zamiłowaniem i poświęceniem. Pracowitość jej najczęściej nie ma granic, może czas długi nie jeść, nie spać, oddana pracy w ciągu 17-tu godzin na dobę. Nietylko spełnia obowiązki matki, żony i gospodyni domu, ale przygotowuje własnemi rękami, — począwszy od uprawy lnu i hodowli owiec, — całkowite ubranie, tak swoje jak dzieci, oraz bieliznę dla całego domu i służby. Nie wystarcza jej dnia do pracy; spełniwszy swe obowiązki w polu, około domu, przy świetle lampki przędzie, tka, szyje, haftuje do późnej nocy. Przed Wielkąnocą „stroi' wycinanki, t. j. wstęgi papierowe strojne w kolorowe, rozmaite desenie. Wycinanki muszą być w każdej izbie, jedne piękniejsze, inne brzydsze, bo jakże w chacie byłoby bez przystrojów? Nowemi wycinankami zdobi ściany odświętnego pokoju, zeszłoroczne bywają przenoszone do kuchni, a stąd do stajni.

Księżanka bywa najczęściej dobrą matką, obchodzącą się z dzieckiem łagodnie i cierpliwie, dowodem tego jest charakter dzieci miły, łagodny i jego życzliwe zachowanie się względem ludzi i zwierząt.

(Dok. nast.).

Do kolegów i koleżanek.

Młodość to kwiat, co zmarnieć może
[w cieniu,
I wiek swój gnuśnie przeleżeć
[w uśpieniu,
Jeśli mu słonka, rosy nikt nie poda.
Lecz on powinien żyć, błyszczeć
[na ziemi,
W zgodnej harmonji blasków
[swych— z drugiemi;
Taką być winna kwiatu postać
[młoda,—

I nasza młodość! A więc w bratniej
[zgodzie
Bądźmy tym kwieciem w ojczystym
[ogrodzie,
Co z każdym rankiem w górę się
[podnosi.
Lecz swą łodygą innych nie za-
[cienia;
Dla wszystkich pragnie szczęścai
[i istnienia,
Dla wszystkich Boga o słoneczko
[prosi.

Gromadko młoda! spójrz dokoła
[oto:
Ile tych kwiatów pada w ziemię,
]w błoto...
Wieleby podnieść było w naszej
[mocy.
Z każdym z nich, myśmy jednej
[matki dzieci;
Więc gdy im słonko słabiej, niż
[nam świeci,
Uczmy, jak światła szukać wpośród
[nocy,

A gdy dla wszystkich słonko będzie
[świecić
We wszystkich sercach chęć do czy-
[nu niecić,
To wszystkie wtedy spełnią się zamiary.
Tylko nam serca hartować potrzeba,
Tylko miłości i pomocy z nieba,
I w to — że wszystko możem
[zrobić — wiary.

Mirosławianka Z. Szopówna.

Ratowanie tonących.

Człowiek rzucający się na ratunek bliźniemu, staje odrazu wobec dwóch nieprzyjaciół: wody, z którą ma walczyć, i samego tonącego, który częstokroć dusi i zatapia niosącego mu pomoc; woda więc zamiast jednej



Rys. 1.

wtedy dwie ofiary pochłania. Wobec tego ratujący pływak musi mieć duży zapas energji, odwagi i siły, a pochwycony przez topielca, uderzeniem pięści lub nawet kopnięciem, powinien wyswobodzić się z objęć tonącego. „Tonący brzytwy się chwyta“ — powiada przysłowie, co jest zupełną prawdą, topielec, nie mogąc utrzymać się na powierzchni, czepia się kawałka drzewa, trawy, gdy zaś zobaczy śpieszącego mu na ratunek przyjaciela, chwyta go rozpaczliwie za rękę, nogę lub łapie wpół i wtedy obaj idą na dno.

Widziałem raz, jak tonący dosiadł ratownika jak konia i trzymając go za głowę, byłby siebie i pływaka utopił, gdyby nie pomoc innych kolegów, którzy w porę pośpieszyli na ratunek. Ciekawe jest rozumowanie takich topielców.

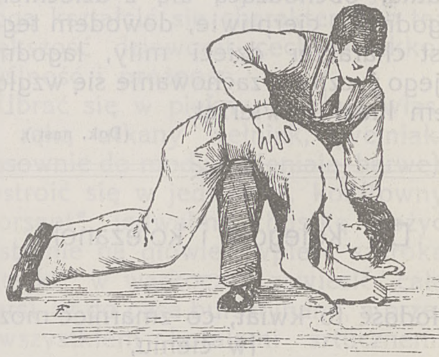
Tonął raz w rzece gospodarz w średnim wieku, wyciągnięto go jednak w porę i życie mu uratowano, chociaż wody opił się dużo. Gdyśmy go później pytali, co on myślał w wodzie, tonąc, odpowiedział nam, że myślał o tem, *ażeby wszystką wodę z rzeki wypić, a potem wyjść sucho*, więc pił wodę, o mało nie do pęknięcia.

Człowiek śpieszący na ratunek topielcowi nie powinien ani chwili tracić napróżno, bo każda sekunda jest droga; po zdjęciu ubrania, pływak powinien rzucić się zaraz do wody i, jeżeli topielca nie widać na powierzchni — płynąć nurkiem, mając oczy otwarte. Zbliżać się do topielca ostrożnie, ażeby ten nie pochwycił ręki lub nogi, jeżeli zaś patrzy jeszcze — ukryć się przed jego wzrokiem, zajść go znienacka z tyłu i ująć pod pachy (rys 1) płynąc samemi nogami tylko, dla wydobycia go na wierzch.

Do topielca, płynącego na powierzchni, dopływamy od głowy i przechylamy go na wznak pociągnięciem za włosy lub uderzeniem w głowę, jeżeli innej rady niema.|

Ciało ludzkie jest nieco lżejsze od wody, trzymając więc leżącego na wznak topielca za włosy, przyciągniemy go do lądu lub na płytkie miejsce; płyniemy wtedy jedną ręką, pracując nią pod wodą i nogami, wykonując niemi mocne pchnięcia.

Samo utopienie jest to uduszenie się wodą, która zalewa drogi oddechowe i tamuje dostęp powietrza. Po wyciągnięciu z wody topielca, należy mu porozpinać ubranie, albo zdjąć zupełnie i usunąć wodę z dróg oddechowych. Nie taczamy jednak topielca po ziemi i nie huśtamy go na płachcie, ale przewieszamy topielca przez własne kolano (rys. 2) (tak ażeby brzuch topielca opierał się o kolano ratującego), głowę podtrzymujemy jedną ręką, a drugą uciskamy klatkę piersiową. Wtedy woda z płuc ścieka, a przez miarowe uciskanie klatki wywołujemy sztuczny oddech. Gdy woda z ust topielca przestała się wylewać kładziemy go na wznak i wytwarzamy oddech



Rys. 2.

sztuczny, oraz dajemy mu do wąchania amonjak, eter lub inne mocne płyny.

Ażeby wzbudzić krążenie krwi w oziębionem ciele, rozcieramy je flanelą i zawijamy w kołdrę lub coś ciepłego. (Dok. nast.).

Listy do „Drużyny".

Z Kowalewa w gub. Kaliskiej.

Chciałem w „Drużynie" napisać parę słów o naszej kowalewskiej młodzieży. Wieś nasza, Kowalewo, leży nad samą granicą pruską (sześć wiorst od granicy) w powiecie słupeckim w gub. Kaliskiej. Składa się ona z dwuch kolonji t. zw. *nowej i starej wsi*, przyczem wschodnia część wsi nazywa się *Kowalewo-Opactwo*, a zachodnia *Kowalewo-Szołectwo*. Ziemia u nas jest dobra, czarnoziem na wierzchu, a pod nim glina. Na końcu wsi znajduje się stary drewniany kościół, a w środku szkoła. Ludności w naszej wsi jest od 500 do 600 głów. Młodzieży jest dużo. Na wiosnę i w lecie sporo jej wyjeżdża za granicę na robotę. Dawniej u nas było bardzo niebezpiecznie z wychodźcami, gdyż rozpraszając się po Prusach, często demoralizowali się i wypaczali swój charakter. W tym już roku prawie wszyscy zgrupowali się w pewnym folwarku i utrzymują jedno polskie pismo poznańskie i dwa czy trzy pisma z Królestwa.

Dużo też młodzieży wyjeżdża co rok do Ameryki, tak dziewcząt, jak i chłopców. U nas Amerykę uważają za kraj mlekiem i miodem płynący. I aby sobie majątku przysporzyć, wyjeżdżają licznie do tego bogatego kraju, a po kilku latach powracają, niektórzy z tysiącami, ale inni bez pieniędzy, a często zdemoralizowani. Jest to bardzo smutne, bo chociaż niejeden przywiezie ze sobą sporo pieniędzy, to jednak takiemu Amerykaninowi tu jest źle. Wszystko co „polskie" to niedobre, a tylko amerykańskie, obce coś warte według nich. Każdy prawie powracający Amerykanin bardzo nizko stoi pod względem moralnym i obyczajowym. Więc emigracja wyrządza nam wielką krzywdę.

Nie wszyscy na szczęście wyjeżdżają; bardzo wiele z młodzieży nie emigruje, lecz pracuje na roli. Dodatnią stroną tej młodzieży jest dążenie do oświaty i kształcenia się. Paru z nich już wyszło na nauczycieli, paru się szykuje do tego zawodu, a także uczą się na księży; jedna dziewczyna skończyła Kruszynek. Sokołowiaków mamy też dwuch (jeden był zmuszony wyjechać do Ameryki). Wszystkich pism jest w naszej wiosce przeszło 25. Czyta je przeważnie młodzież, gdyż starsi albo wcale, albo mało czytać umieją. Młodzież nasza już na tyle się uświadomiła, że czasu w niedziele i święta nie traci tylko na bezmyślnych tańcach, ale urządza różne zabawy ze śpiewami, pogadanki i inne pożyteczne rzeczy. Palenie papierosów wśród młodzieży męskiej stopniowo się zmniejsza, jak również zmniejsza się picie wódki. Dużo jest u nas jeszcze do zrobienia i dużo mamy do zwalczenia różnych przeszkód, ale da Bóg, że wszystko złe przeminie, a dobro między nami się zakorzeni.

Rozalja Zywertówna

Z Kowalewa-Opactwa.

W sprawie „Drużyny".

Koledzy i koleżanki! Skoro zawiązało się nasze pismo, powinniśmy je popierać i to popierać nietylko słowem, pisanem i przesyłanem Redakcji do wydrukowania, ale i czynem to jest samem rozpowszechnianiem tego pisma pomiędzy jeszcze nie znającymi naszej „Drużyny" i tłomaczeniem szlachetnych jej zamiarów, zjednywaniem większego koła prenumeratów i czytelników, a po za tem jeszcze składaniem i zbieraniem dobrowolnych ofiar; boć to pismo dopiero powstało, funduszów na wydawanie

mamy bardzo mało, a wydatków dużo.

Gdybyśmy składali tylko po kop. 10 miesięcznie (po za prenumeratą), to jak, jest nas kilkuset przedpłatników, złożylibyśmy miesięcznie kilkadziesiąt rubli. Jest to już pokaźna suma, chociaż jeszcze mało pokryje potrzeb, ale gdy doliczymy prenumeratę, to już możemy być pewni, że (chociaż sumę będziemy mieli ograniczoną) ale już nie zwiniemy swego pisma. O, bo niech Bóg broni, żebyśmy mieli tak zacne pismo postradać! Zresztą przy dobrych chęciach, które oby nie były słomianym ogniem damy sobię radę!

Czesław Lemański.



RÓŻNE WIEŚCI.

× **Przez wódkę na szubienicę.** Dnia 16/II b. r. stracono w Chicago (*Czigago*) przez powieszenie 4 młodych Polaków za zbrodnie morderstwa. Fakt ten poruszył do głębi całe wychodźtwo polskie „Odrodzenie" podaje, iż ostatniemi słowami jednego ze straconych były następujące: „Przyczyną wszelkich zbrodni i morderstw jest wódka. Gdyby nie ona, byłbym dziś człowiekiem wolnym. Wódka spowodowała, żem zabił niewinnego człowieka i osierocił dzieci jego. Gdybym mu tylko mógł wrócić życie!.

× **Surowe kary na gorszycieli.** Władze angielskie występują bardzo surowo przeciwko szerzycielom zgorszenia za pomocą literatury i obrazków gorszących. Zwłaszcza policja londyńska śledzi gorliwie handlarzy takiego towaru. Dwaj z nich, aresztowani przed kilku dniami, stanęli właśnie przed sądem londyńskim, który skazał każdego z nich na 9 miesięcy robót przymusowych i *25 batów*.

× **Walka z niedźwiedziem.** W Pilawinie (na Wołyniu), ze zwierzyńca hr. Józefa Potockiego, uciekła niedźwiedzica, podkopawszy się pod klatkę. Szła lasami Klucza „Pińczowskiego" w stronę wsi Suchowoli. Po drodze napotkała dziewczynę wiejską, która drżąc ze strachu, schowała się za poblizkie drzewo. Niedźwiedzica obwąchała dziewczynę i, nie uczyniwszy jej nic złego, powędrowała dalej.

Pod wsią, na kraju lasu, pasło się stado krów z cielętami. Niedźwiedzica rzuciła się na jedno cielę, chcąc je porwać do lasu. Lecz krowy rzuciły się na niedźwiedzicę, bodąc ją rogami.

Tymczasem na krzyk pastuszka nadbiegła z poblizkiej chaty włościanka, która, porwawszy tłuczkę do kartofli, rzuciła się na ratunek cielęciu. Rozjątrzone zwierzę zaniechało cielęcia i rzuciło się na kobietę, gryząc ją i drapiąc dotkliwie. W obronie napadniętej znowu stanęły krowy, bodąc wściekle rogami rozjuszone zwierzę. W tej samej chwili nadbiegł z poblizkiej leśniczówki leśniczy i celnymi strzałami z fuzji zabił zwierzę.

Rany włościanki na szczęście okazały się lekkie.

× **Życie za żart.** W Wyszogrodzie w pow. płockim dwóch chłopców żydowskich kąpało się w rzece. Jeden z nich wrzucił dla żartu czapkę drugiego do wody. Gdy ten pośpieszył, żeby ją wydobyć, natrafił na wir, który go porwał i utopił.

× **Czy on naprawdę idjota?** Będąc ostatni raz w Warszawie miałem takie zdarzenie: jestem ze wsi: palt, kurtek, krawatów i mankietów nie znam, chodzę sobie zawsze w sukmanku swojej roboty i w nim byłem w Warszawie.

Chodziłem już po mieście 5 dni i nikt mi nic nie powiedział, aż 6 dnia, przechodzę ulicą—stoi trzech uliczników. Przechodzę około nich, a jeden z ironją kłania mi się, zdejmując przytem czapkę do samej ziemi.

Widząc kpiny pytam:

Czy pan idjota?

Dwaj inni klepiąc w ręce śmieją

się; pierwszy pokłonów zaprzestał i obrócił się do mnie plecami.

Poszłem dalej.

Prawdopodobnie ów ulicznik nie był wcale idjotą, znać tylko, że wychował się w środowisku, które, jak on, szanuje tylko kurtkę miejską. Ciekawym, kiedy mieszczuchy zaczną traktować chłopów na równi ze sobą.

J. Sobiech.

ZABAWA i ROZRYWKA.

Żydzi i wiorsty.

Szło raz drogą pięciu żydów, a mieli przejść pięć wiorst.

— Nu—mówi jeden żydek, imieniem Symcha, — w pięcioro ludzi przejść pięć wiorst, to nie wielka rzecz, bo na każdego wypada tylko po jednej wiorście; trudniej byłoby jednemu, pięć wiorst przemaszerować.

— Ty Symcha zawsze mądry — mówią mu na to inni — ty dobrze mówisz.

Poszli dalej.

Gdy przeszli cztery wiorsty, jeden z żydków, Mojsie, przypomniał sobie że zostawił coś w mieście.

— A jak teraz będzie?—pyta się—czy ja pójdę sam z powrotem, czy wszyscy, jak wypada na kolegów.

Symcha, któremu nie bardzo chciało się wracać, zabrał głos:

— Sza—mówi—jak my pójdziemy wszyscy, to zrobimy aż dwadzieścia wiorst (5×4), a jak Mojsie pójdzie sam, to będzie miał tylko cztery wiorsty. Mojsie nic nie mówił po takiem zapewnieniu.

Poszedł z powrotem sam.

Ale jeden z czterech pozostałych żydków inaczej myślał niż Symcha.

— Mnie się zdaje—powiada—że ty Symcha źle powiedziałeś. Nam to nic przejść jedną wiorstę we czterech, ale jemu jednemu przejść cztery wiorsty!!!

I który z tych żydków miał najlepszą rację? *Ad.*

— Jaka choroba u nas jest najpospolitszą?

— *Pan*, bo najwięcej ludzi na pana choruje.

Depesza handlarza bydła.

Jutro wszystkie świnie na stacji... Pana oczekuję także... Przyjadę dopiero jutro, bo pociąg osobowy nie zabiera wołów.... Jeżeli pan potrzebuje bydła, to proszę o mnie myśleć.

(Naród.)

— Strzelasz do drzewa, na którym siedzi 10 ptaków. Trzy z nich spadły ile pozostało?

— Nic nie pozostało, bo reszta uciekła.

W szkole.

Nauczyciel do ucznia: Dlaczego to jeden człowiek ma czarne włosy, a drugi jasne?

Uczeń: A bo jeden rodzi się w nocy, a drugi w dzień.

Nauczyciel: W takim razie kiedy się rodzi człowiek mający włosy ryże?

Uczeń: Wtedy gdy słońce mocno pali t. j. w południe, proszę Pana profesora.

— Powiedz mi, co to jest wół?

— Jest to głupi uczeń proszę pana.

— E... skądże, taki uczeń nazywa się cielęciem.

— Aha, rozumiem teraz, wół, —jest to pan nauczyciel.

List chłopca rzeźnickiego.

Kochani rodzice! Dziękować Bogu zaprawiam się nieźle do rzemiosła. Majster bardzo kontent ze mnie, już mi dwa razy kazał ściągnąć skórę, a przed Wielkanocą obiecał zarznąć...

Przy swataniu.

Córka, dorastająca panna, płacząc: Tak, jak matula to się ożenili z tatulem, a jak mnie to każą wyjść za obcego chłopa...

Zna Warszawę.

— Czy ty znasz Warszawę?

— O, znam, bo moja matka przez Warszawę do Częstochowy chodziła.

Kałamarz i pióro.

Powadził się kałamarz na stoliku [z piórem,
Kto świeżo napisanej księgi był au- [torem.
Nadszedł ten, co ją pisał, rozśmiał [się z bajarzów.
Wiele takich na świecie piór i kała- [marzów!

I. Krasicki.

ŁAMIGŁÓWKA.

UŁOŻYŁA JADWIGA LEMIESZÓWNA.

1) X . . X
2) X X
3) X . . . X
4) X X
5) X . . . X
6) X . . . X
7) X . . . X
8) X X

Krzyżyki, idące w kierunku pionowym z prawej strony, należy zastąpić literami, któreby utworzyły nazwę jednego z większych miast, naszych: krzyżyki zaś z lewej strony, idące również w kierunku pionowym powinny utworzyć nazwisko dzielnego Polaka w czasów powstania Kościuszki.

Krzyżyki, wraz z kropkami, idącemi w kierunku poziomym, powinny utworzyć następujące wyrazy:

1) Zwierzę dzikie.
2) Istoty wyższe od ludzi, a niższe od Boga.
3) Moneta.
4) Nazwa plemienia.
5) Część pola.
6) Materja św'ecąca.
7) Naczynie do zboża lub kartofi.
8) Nazwa utalentowanych muzyków, malarzy lub poetów.

Łamigłówka rachunkowa

podał K. Żukowski.

Od czterdziestu pięciu odjąć czterdzieści pięć tak, ażeby od odjmowania pozostało również 45.

Rozwiązanie łamigłówki rachunkowej zamieszczonej w № 7.

XX
— 99
11

Ofiary na „Drużynę".

Dla uczczenia ś. p. Mieczysława Brzezińskiego grono nauczycieli, byłych jego uczni, składa na „Drużynę" rubli 5 kop. 55
P. Wanda Łopińska rubli 5.

Odpowiedzi od Redakcji.

— p. **W. Pieślakowi.** Za słowa uznania serdecznie dziękujemy. Dodają one nam otuchy w pracy.

— p. p. **Grędziczankom.** Tak jest. Do pracy społecznej powinien się poczuwać każdy. To też chęci i zamiary, które widzimy z listu otrzymanego, sprawiły nam prawdziwą radość.

— p. **J. Kornackiemu.** Pieniądze otrzymaliśmy, „Drużynę" wysyłamy. Ale stosownie do wyjaśnienia w № 3 należy się nam jeszcze 50 kop.

— p. **A. Zwolskiemu.** Jak wyżej.

— p. **Wł. Bartoszowi.** Odpowiedź przesłaliśmy listownie.

— p. **J. Kretowi.** Artykuł otrzymaliśmy. Za życzenia dziękujemy. Drużynę zawsze w swoim czasie wysyłamy.

— p. **Mnichównie.** Odpowiedzieliśmy listownie.

— p. **Czesławowi Lemańskiemu.** Nie słuszne są zarzuty pana, jakoby inteligiencja nas nie popierała. Owszem, spotykamy się chociaż z nielicznem lecz serdecznem poparciem inteligencji.

Wydawca **Adam Chętnik.** Redaktorka **R. M. Brzezińska.**

Druk. Art. K. Kopytowski i S-ka, Nowy-Swiat 47.